

Nie pójda do wyboj. Pójdą na stolice. Tak przynajmniej twierdzi rząd w Phnom Penh i z wczasu przygotowuje kontrofensywę na terytorium Czerwonych Khmerów. Niedzielne wybory miały przynieść Kambodży demokrację i pokój. Czerwoni wybrali już dawno. Demokracja nie daje im żadnych szans. Idzie wojna.

Pomylili się gorzko także ci, którzy wierzyli, że Czerwoni Khmerzy nie ośmielą się zaatakować błękitnych hełmów. Coraz wyraźniejsza jest groźba, że finałem białego karnawału ONZ będzie czarna niedziela. Narody Zjednoczone prawdopodobnie nie sprzeciwią się rozprawie rządu Hun Sena z czerwoną partyzantką. Czego będziemy świadkami? Sprawiedliwej kary za zbrodnie czy politycznej rzeźni? A tak niedawno jeszcze...

DŻUNGLA

Bambusowy kij, wbity w środek drogi. Na bambusie kartka zapisana dziwnym ornamentem. Początek Czerwonych Khmerów. Nareszcie. Szukali z nimi kontaktu od dawna. Rozpytywali po wsiach. Teraz czekają aż tłumacz objadzi wiadomości. UNMO's — obserwatorzy wojskowi, elita wśród misjonarzy ONZ w Kambodży.

Nie wolno im zabierać broń i dziennikarzy ze sobą, nie wolno udzielać informacji ani wywiadów. W tej opowieści nie padną nazwiska bohaterów.

— *Czerwoni Khmerzy zgadzają się na spotkanie* — kiwa się tłumacz w uśmiechach. — *Wiadomość trzeba zostawić w wiosce.*

Wójt znów się zaklina, że nie widział czerwonych od lat przynajmniej dziesięciu. Wiadomość jednak dościera bez pudła, miejsce, dzień, godzina...

UNMO's czekają cierpliwie. Dwie godziny, cztery... — *Czasem czeka się i dwa dni* — uspokaja jeden. Wreszcie jest wysłannik. Siedział gdzieś w krzakach. Obserwował, czy misjonarze nie przywlekli ogona — armii rządowej. Każę iść za sobą.

O BÓZ w dżungli. Krzywy dąszek z liści palmowych. Obok wypłowiła pałatka rozpięta na bambusach. Ilu ich jest? Dwunastu? Pięćdziesięciu? Kilku otacza negocjatorów. Paru szwenda się jeszcze w zasięgu wzroku. Ktoś się przesuwa ospale między drzewami. Senna, duszna atmosfera. Tu nikt się nie uśmiecha.

Dowódca siedzi w kucki. Wygląda na 20 lat. Ma 25. Chińska okrągła czepka. Na szyi krama — chusta w czerwoną kratkę. Służy do wszystkiego: ocierania potu i krwi, przewiązywania ran, przechowywania pieniędzy i amunicji. Kurtka — niby wojskowa, też chińskiego kroju. Na nogach — plastikowe sandały — znamię postępu. Tradycyjne sandały Czerwonych Khmerów wyrabiano z opony.

Goście przykucają uprzejmie. Kładą na ziemi paczkę papierosów. Trudno się zdobywa zaufanie partyzantów. Trudno się z nimi rozmawia. Mówią, że UNTAC jest stronniczy, popiera rządzącą partię, jej armię — KPAF i wietnamskiego najeźdźcę.

— *Walczymy o nasz kraj. Rząd jest na usługach Wietnamczyków. Wietnamczycy ukrywają tu w Kambodży swoje oddziały. Te wybory są po to, żeby ostatecznie uzależnić nas od Wietnamu i obcych dyktatorów.*

Ten leśny oddział to wciąż 16-letni chłopcy z papierosem w ustach i pistoletem maszynowym pod pachą. Okrutne dzieci. Jakby w tej dusznej dżungli czas zamarł. A jednak to już następne pokolenie. Należą do oddziału, bo urodzili się w wioskach Czerwonych Khme-

przez klikę rządzącą. Za dezercję też zresztą — kara śmierci. Nie ma dokąd uciekać.

Baszki Czerwonych rozrzucone są po całym kraju. Tu z dala od bogatego pogranicza tajskiego, żupów z przemytu, partyzanci klepią biedę. Brakuje żywności, ubrań, lekarstw, pieniędzy. Została nienawiść, strach i ślepe postępowanie.

HONOR CZERWONO

ALEKSANDR

rów, bo ojciec, czasem stryj był Czerwony.

NIE znają się na maoistycznej rewolucji. Komunizm? Wietnam też go tutaj firmował. Chcą być patriotami. Nie interesują ich kwestie własności, równości, kolektywizmu. Niech rządzi kto chce. Nawet król. Byłoby wcześniej wygnać wroga. Nie myślą o morzu khmerskiej krwi przelanej przez ich poprzedników i dowódców.

I choć to zabrzmi nieprawdopodobnie, wciąż cieszą się jakimś poparciem ludności — zwłaszcza na wsi. Nie pamięta się zbrodni. Pamięta się, że byli nieprzekupni. Zabijali, ale nie rabowali. Srogo karali wszelkie przejawy korupcji.

Ostawiony Pol Pot ukrywa się gdzieś za granicą Tajlandii. Jego miejsce tymczasem zajął Khieu Samphan — „Czerwony Khmer z ludzką twarzą”.

I choć legalny powrót reprezentacji czerwonych do Phnom Penh wywołał wzburzenie, tłum demonstrantów ograniczył się do obrzucenia ich poduszkami i wałkami z tapczanów. Zasiadł w Radzie Najwyższej, która miała nadzorować proces narodowego pojednania.

Tym chłopcom w lesie wzmówiono, że nie ma wyboru. Jeśli się poddadzą, zostaną wymordowani

Zdarzyło się w innym rejonie, że jeden z leśnych patroli samowolnie „zarekwirował” UNTAC-owską toytę.

— *Który to zrobił bez mojego rozkazu?* — spytał pułkownik kiedy funkcjonariusze ONZ udali się doń na skargę. Sprawca przyznał się natychmiast.

— *Wiesz, co masz zrobić?* — pytał dalej pułkownik.



Czerwoni Khmerzy to wciąż 16-letni chłopcy z papierosami w ustach. Okrutne dzieci.

— *Wiem* — odrzekł tamten i na oczach zdumionych misjonarzy odmaszerował na stronę, wyszarpnął zawleczkę i poczekał cierpliwie aż granat rozerwie mu głowę i rękę.

DOWÓDCA zgadza się na eksperyment. Mają chorych. Potrzebują pomocy, lekarstw. Wyśle jednego ze swych żołnierzy razem z obserwatorami do miasta na rozmowę z szefem prowincji. Jeśli żoł-

nierz wróci ciaty i zdrow — zacię-
nią kontakty z UNTAC-em. Nego-
jatorzy się cieszą: wszak polki trwa-
ją rozmowy — milczą działa.

Chłopcy już się rozluźnili. Czes-
tują się papierosami. Proszą o nie-
błeski ONZ-owski beret. O, jeszcze
tę plakietkę... Oglądają aparat foto-
graficzny. Onieśmiela ich własna
ciekawość, zaczynają się nawet
grzecznie uśmiechać.

- KTO zdradził? — gorączku-
ją się misjonarze dwa dni
później. — **Wszyscy zginił!**

Nie wiadomo. KPAP spalił obóz
Czerwonych. Akcja była szybka
i krótka. Znali dokładnie miejsce
i siły przeciwnika. Otrzyli i wytu-
kli moździerzami i bronią maszyno-
wą. Tamci to w końcu zbrodniarze.

REPORTAŻ



Strzelają czasem z odległości 8 km.
Stanowiska ogniowe rozstawiają
wokół celu. W takich akcjach za-
wyczaj pierwszy daje ognia ów-
wódca — odpala racę, żeby wska-
zać innym cel. To szansa. Jeśli
zobaczysz spadającą gwiazdę, mo-
żesz uciec.

Anka jest już wykończona. Przy-
jechała jako wolontariuszka. Jest
geografem z PAN-u. Myślała o po-
łudniu Kambodży, górach, z któ-
rych widać morze. Trafiła do Stung

administracji cywilnej całej prow-
incji jest Polak Stefan Ciacek.

— **Dyplomata?** — cieszą się ży-
wie Indonezyjczycy z jednostki
operacyjnej. — **To partyzant. Zare-
jestrował już wszystko, co się rusza.**

Rejestracja ludności w tej prow-
incji również przypominała woj-
nę podjazdową. I czasem cywilni
wolontariusze musieli użyć nie tyle
forteli, by nakłonić „wsparcie”,
czyli wojskowych do wyprawy
w strefy walki i na tereny Czer-
wonych.

NYCH KHMERÓW

A ZAWŁOCKA

Jeśli ktoś ocalał, zaszył się w dżun-
gli albo przedał do swoich z ostrze-
żeniem.

Znowu nie ma z kim gadać. Zdra-
dził tłumacz.

ŚCIEŻKI LAMPARTA

Z A DNIA przynoszą pakę owi-
niętą w liście bananowca albo
szmaty. Wrzucają w krzaki. Wraca-
ją po zmierzchu. Wyjmują z paki

— małego miasteczka w oku cyk-
lopu. Nieustanna palba przez pół
roku zamieniła Ankę w kłębek ner-
wów. Musi się przenieść do Phnom
Penh, odpocząć.

K AMPONG THOM, stolica prow-
incji. Tu na skrzyżowaniu
trzech głównych dróg cały czas
trwa wojna.

Czętki lamparta — zwykło się
mówić o taktyce Czerwonych
Khmerów. Małe ruchliwe oddziały
pojawiają się niespodziewanie, za-
znaczając swą obecność „zamacha-
mi bombowymi”. Wioski za dnia
oprowadane przez wojska rządowe
— nocą często są bazami partyzan-
tów.

KPAP urządza propagandowe
ofensywy artyleryjskie i także od-
nosi zwycięstwa. Muchy z armaty
nie ustrzelisz. Walka podjazdowa to
najważniejszy element wojny psy-
chologicznej. Czerwoni są wszę-
dzie i nigdzie. Długo i gromko za-
pewniają ofensywy i kontrofensy-
wy. Trudno ocenić ich siły. Koncen-
tracja wojsk jest wtedy, kiedy zbie-
rze się ich trzydziestu. Dywizje
osiągają czasem liczebność 60 żoł-
nierzy. Na tym obszarze dowodzi
nimi generał Mem Ron. Nad nimi
czuwa enigmatyczny szef. Krwawy
jednonogi generał. Tajemnica i le-
genda zawsze były siłą żołnierzy
Pol Pot.

Pięć miesięcy temu wysadzili
dwa mosty. Wystarczyło, żeby na
jakiś czas odciąć prowincję od resz-
ty kraju.

BAL U WETERANÓW

M ASZ tu całą parafialną
— **bitą śmietaną UNTAC-u**
— śmieje się młody Amerykanin
od praw człowieka. Rzeczywiście
— Kampong Thom kipi od misjona-
rzy. Niemal przed każdym domem
grzeją się w słoncu białe wozy,
szumią błękitne flagi. Szefem

T EGO domu nie sposób zapom-
nieć. Wielki, malaryczny, stoi
na palach wbitych w bagno.
Khmerskie łazienki: betonowe ba-
seniki z wodą, czerpak, „skocznia
narcisarska” (czyli to, o czym pisać
nie wypada).

Mroczne, przestronne sale bez
stropów. Z trudem dosięgasz wro-
kiem dachu skleconego ze ściemo-
nianych belek. Na ścianie zadomo-
wiona jaszczurka — gekon. Odkar-
miona solidnie, osięgnięta niezwyk-
łe rozmiary. Lypie leniwie na gości,
witając ich swym dziwnym trelem,
przypominającym ni to kumkanie
ni dziecięce całuski. Luby ten
dźwięk zastępuje w kraju ogłusz-
nym wojną świergot ptaków.

Tu żyją w zgodzie pułkownicy
— obserwatorzy wojskowi: szar-
mancki Irlandczyk, zwalisty Ros-
janin i mały, pogodny Malezyjczyk.

Strumienie wody ściekają z pół-
cięćarówki na dziedzińcu, z które-
go biegnie pomost do domu. To
chłodzi się na pace w lodowym
gruzie imponujący stos puszek
z piwem.

Pożegnanie Malezyjczyka. Prze-
rzucają go do centrali. Są wszyscy:
wolontariusze, wojskowi, lekarze
bez granic. Radosny wielojęzyczny
gwar przekuwają od czasu do cza-
su dalekie serie.

— **KBK** — mądry się Ameryka-
nin od praw człowieka.

— **RKM** — poprawia cicho rosyj-
ski pułkownik. Sierioza to już pa-
rzy człowiek. Siktromny i serdocy-
ny. Melancholijne, słowiańskie
spojrzenie. Wieleletnie doświad-
czenie w GRU. Podpytywany dys-
kretnie o Afganistan, pochyla się
nad gitarą. Miłkną gadki, kiedy
Sierioza śpiewa tęsknie „Oczy czar-
ne”. Po chwili już wszyscy razem:
białi, żółci, czerwoni, czarni i zie-
łoni śpiewają najbardziej internacjo-
nalistyczne pieśni świata — stare
preboje Beatlesów.

N OCA za ścianą domu pana
Stefana ryczy okrutna Azja.
Zamiera nawet szranie gigantycz-
nych tropikalnych karaluchów
znękanych tu piekielną muzyką.
Dom stoi obok chlewni. O drugiej
zaczyna się rzeź niewiniątek. Nikt
nie chce zbadać jaką metodą się
odhwa. Świnie kwicza jakby je
rzezano tęymym scyzorykiem. Uply-
nie cała wieńka wieczność, zanim
nadejdzie świt.



* Instach i pistoletami maszynowymi pod
Fot. Autora

bazookę albo RPG (wg nazewnictwa
Układu Warszawskiego). Usta-
wiają na krzyżaku z bambusa. Pod-
łączają akumulator samochodowy.
Samoodpalacz. Nim ściętnie huk,
są już daleko, wmieśzają w szwar-
gotliwy thum. W cywilnych łachach
nikt ich nie rozpoznaje.

Czasem planują grubszy ob-
strzał. Na Sala Visar jednej nocy
spadło ponad 100 takich pocisków.